

W NUMERZE

POLITYKA 4/20.01–26.01.2016

TEMATY TYGODNIA

- 10** Janina Paradowska
Operacja Ziobro
- 13** Marek Ostrowski
Unia gani polski rząd
- 16** Malwina Dziedzic
Trudna misja Schetyny

ROZMOWY ŻAKOWSKIEGO

- 19** Dr Maciej Bartkowski
o metodach oporu obywatelskiego przeciwko autorytarnej władzy

POLITYKA

- 22** Anna Dąbrowska
Jak zwalnia nowa władza
- 24** Marta Mazuś Kim jest nowy szef TVP Kultura

OGLĄD I POGLĄD

- 26** Ryszard Petru
Co po POpiSie?
- 28** Katarzyna Hall
Poszkodowane pięćlatki

SPOŁECZEŃSTWO

- 32** Violetta Krasnowska
Rozwodowe wojny o pieniądze
- 35** Edyta Gietka
Egzorcystka na telefon
- 38** Piotr Pytlakowski
Macedończyk bezpieczeństwa
- 40** Rozmowa z Przemysławem Gackiem, współtwórcą portalu pracuj.pl, o branżach lepszych i gorszych

RYNEK

- 42** Joanna Solska
Cios w giełdę

EDUKATOR EKONOMICZNY

- 46** Cezary Kowanda, Witold M. Orłowski, Piotr Sobolewski
O trzeciej fazie kryzysu, upadłości konsumenckiej i złodziejskich łowach w sieci

ŚWIAT

- 52** Filip Gańczak NIEMCY
Nowa twarz niezadowolonych



13 Europa kontra PiS



16 Kapitan Schetyna



84 Relacja z gali Paszportów POLITYKI



108 NA WŁASNE OCZY
Senne przebudzenie stolicy kultury

- 55** Paulina Wilk INDIE **Udało się policzyć Hindusów**
- 58** Tomasz Zalewski USA **Bunt ranczerów**

HISTORIA

- 60** Krystyna Held-Olsińska
W okowach pańszczyzny
- 63** Aleksandra Porada
Jak Stuartowie walczyli o powrót na angielski tron

NAUKA

- 66** Jędrzej Winiecki
Co niszczy puszcę
- 70** Paweł Walewski **Fenomen polskich stulatków**
- 72** Agnieszka Krzemińska
Pierwszy chleb
- 75** TECHNOECHO

KULTURA

- 80** Rozmowa z amerykańskim reżyserem filmowym **Francisem Fordem Coppolą** o niezależności w sztuce i przyszłości kina
- 83** KAWIARNIA LITERACKA
Grażyna Plebanek
- 84** Mirosław Pęczak
Po raz 23. rozdaliśmy Paszporty POLITYKI
- 88** Janusz Wróblewski
„Syn Szawła”: szokujący dramat o Zagładzie
- 91** MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 92** Urszula Schwarzenberg-Czerna
Korespondenci wojenni na celowniku
- 96** Olga Drenda
Coraz mniej UFO
- 100** Marcin Piątek **Skąd te tragedie w Tatrach**
- 102** Piotr Adamczewski
Karnawałowe frykasy

NA WŁASNE OCZY

- 108** Marta Wróbel, fotografie Piotr Małecki **Wrocław: rok eurokultury**

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski
- **5** Ludzie i wydarzenia
- **76** Afisz • **103** Passent
- **104** Hartman • **105** Tym
- **106** Do i od redakcji
- **107** Fusy, plusy i minusy
- **114** Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

Niech Polska śpiewa swoje



Pogłoska, że po zamachu PiS na media publiczne Polska może stracić prawo udziału w popularnym konkursie piosenki Eurowizji, budzi niepokój. Ja rozumiem, że ewentualne wykluczenie polskich wykonawców z tego konkursu miałyby uderzyć w obecną pisowską władzę, pytanie jednak, czy nie byłoby to uderzenie zbyt brutalne? Wiadomo, że w wyniku tej decyzji najbardziej ucierpiałby nie PiS, ale zwykli Polacy. Byłaby też ona ciosem w polskie piosenkarstwo. Niektórzy twierdzą zresztą, że ciosem od dawna planowanym, gdyż znane są zakusy międzynarodowych promotorów i łowców talentów, zwłaszcza niemieckich, wobec naszych wykonawców i reprezentowane przez nich tradycyjne wartości. Swojskie, ludowo-discopolowe akcenty, wyzierające z polskiego piosenkarstwa, budzą na świecie zdumienie, którego wielu nam zazdrości.

W ostatnim dwudziestoleciu polska piosenka estradowa wybiła się na niepodległość, w wyniku czego wielu wykonawców działa dziś w sposób zupełnie suwerenny, niepowiązany z zagranicznymi listami przebojów i tamtejszymi rynkami. Tempo rozwoju branży jest tak duże, że niektórych gwiazd estrady, takich jak Gosia Andrzejewicz czy zespół Weekend, w zachodniej Europie jeszcze w ogóle nie ma, a u nas już są. Wszystko to budzi zrozumiałą zazdrość międzynarodowych krytyków i producentów. Niewykluczone, że chcieliby pozbawić naszą narodową piosenkę tej niezależności i spowodować, żebyśmy śpiewali tak jak wszyscy, a zwłaszcza Niemcy.

Mówi się, że ceną za przywrócenie nam do konkursu Eurowizji miałyby być oddanie przez PiS zawłaszczonych mediów publicznych. Mam nadzieję, że rząd Beaty Szydło na to nie pójdzie, a Zbigniew Ziobro wystosuje w tej sprawie ostry list, w którym nie

pozostawi Europie złudzeń, że jako synowie i wnuki tych, którzy kiedyś walczyli i śpiewali w szeregach AK, nie będziemy teraz wykonywać naszych piosenek na kolanach, tak jak nam zagrają synowie i wnuki tych, co mają naszą krew na rękach. Przeciwnie, w odpowiedzi na atak będziemy dalej głośno śpiewać swoje. Oczywiście polskie piosenkarstwo ma swoje problemy, z którymi się boryka, ale o tych problemach będziemy rozmawiać tu w kraju, a nie w gabinetach Brukseli czy Berlina. Premier Szydło już potwierdziła, że jest do takiej rozmowy gotowa, wyrażając chociażby opinię na temat filmu „Ida”, jej zdaniem niezbyt udanego i antypolskiego. Teraz czekam na opinię pani premier w sprawie naszego piosenkarstwa, wierząc, że będzie przychylna, bo nie trzeba się za bardzo znać, żeby zauważyć, że jest to produkt artystycznie lepszy i o wiele bardziej polski od „Idy”.

Kosztowna zmiana



Adam Grzeszak

Jeśli ktoś wierzył, że można oddzielić politykę od gospodarki, po decyzji wielkiej agencji Standard&Poor's przeżył rozczarowanie. Agencja obniżyła Polsce rating z poziomu A- do BBB+ oraz zmieniła jego perspektywę z pozytywnej na negatywną. To pierwsza taka degradacja od dwóch dekad, a jednocześnie sygnał dla inwestorów zainteresowanych pożyczaniem Polsce pieniędzy: uwaga, miejcie się na baczności! BBB+ to jeszcze nie poziom śmieciowy, dla hazardystów, ale chętni do pożyczania powinni wiedzieć, że z tym krajem mogą być problemy. Trzeba to brać pod uwagę, oczekując wyższego oprocentowania pożyczek.

Na wieść o decyzji S&P złoty stracił na wartości, a notowania akcji na GPW po raz kolejny spadły. Czarne miesiące warszawskiego parkietu zdają się nie mieć końca (obszerniej piszemy o tym na s. 42). S&P wyjaśnia, że zmieniła swoją ocenę Polski za sprawą problemów, jakie się już pojawiły i mogą pojawiać w przyszłości. Mają charakter polityczny i są związane z demontażem instytucji demokratycznego państwa prawa, czyli tzw. „dobrą zmianą” PiS: paraliżem Trybunału Konstytucyj-

nego, zamianą służby cywilnej w system partyjnych nominacji, przejęciem mediów publicznych, obłożeniem niektórych sektorów gospodarki specypodatkami. Analitycy wzięli też pod uwagę, co mogą przynieść kolejne dni i noce: utratę niezależności przez Narodowy Bank Polski oraz Radę Polityki Pieniężnej (która ma realizować „dobrą zmianę” w polityce monetarnej), spełnianie kosztownych obietnic wyborczych PiS wymagających zwiększenia długu publicznego (program Rodzina 500+, obniżenie wieku emerytalnego, kwota wolna od podatku), uderzenie w banki ograniczające możliwość kredytowania gospodarki (podatek od aktywów – wchodzi od lutego br. – oraz prezydencka ustawa w sprawie kredytów frankowych), nakręcanie wojny z Komisją Europejską (skomplikuje pozyskiwanie pieniędzy z budżetu UE).

Decyzja S&P jest kolejną złą wiadomością dla polskiej gospodarki. Dlatego wywołała irytację rządu, zwłaszcza ministra finansów Pawła Szałamachy. Przekonuje on, że nie ma makroekonomicznych argumentów za obniżaniem ratingu, przecież pozostałe dwie agencje z wielkiej trójki nie dostrzegły powodu do zmian. Polska gospodarka ma się świetnie, co potwierdza Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Broni dorobku poprzedników z PO, choć PiS szedł do władzy z opowieścią o „Polsce w ruinie”. Okazuje się, że ta ruina była w świetnym stanie. Teraz jednak może się posypać.

Rosnące koszty obsługi zadłużenia zagranicznego spowodowane słabnięciem złota i wyższe oprocentowanie, jakie trzeba będzie oferować, sprzedając obligacje, to będą najprostsze konsekwencje ratingowej degradacji. Do tego dochodzą straty wizerunkowe, zwłaszcza po decyzji Komisji Europejskiej o objęciu Polski procedurą nadzoru praworządności.

Politycy PiS powtarzają, że decyzja S&P ma charakter polityczny, a nie ekonomiczny, co ma podważać jej wiarygodność. Tymczasem agencja nie kryje, że wzięła pod uwagę właśnie czynniki ryzyka politycznego mające dla gospodarki ogromne znaczenie. Bo nie da się połączyć rozważnej i umiarkowanej polityki gospodarczej z pospiesznym rozwalaniem instytucji demokratycznego państwa prawa. Te instytucje zostały stworzone nie po to, by szerzyć tak krytykowany przez PiS imposybilizm, ale by chronić państwo i gospodarkę przed nieobliczalnymi posunięciami, nawet jeśli mają one mandat demokratycznych wyborów.

Nowy, obniżony rating Polski został opatrzone zwrotem „perspektywa negatywna”. Oznacza to, że zdaniem analityków istnieje duże prawdopodobieństwo, że w ciągu najbliższych dwóch lat zajdą kolejne wydarzenia, które spowodują regres w wiarygodności kredytowej Polski. Wygląda na to, że amerykańscy eksperci sporo wiedzą o logice „dobrej zmiany” i przewidują, że będzie ona dla polskiej gospodarki bardzo kosztowna.

Wielki nasłuch

Na nic protesty i krytyka gremiów eksperckich, w tym Rady ds. Cyfryzacji przy ministrze cyfryzacji. Sejm przyjął nowelizację ustawy o Policji, czyli tzw. ustawę inwigilacyjną. Nowela była konieczna, bo Trybunał Konstytucyjny zakwestionował część przepisów w ustawie przyjętej jeszcze w okresie rządów Platformy Obywatelskiej. M.in. nie zapewniała wystarczającej ochrony obywateli przed zagrożeniem niekontrolowanej inwigilacji ze strony organów ścigania. Prawo i Sprawiedliwość „naprawiając” błędy poprzedników, zaproponowało akt prawny wymontowujący praktycznie ostatnie bezpieczniki – służby policyjne otrzymują nieskrępowaną możliwość monitorowania komunikacji elektronicznej w internecie. Podważono sens takich pojęć, jak tajemnica zawodowa, jaka chroni np. korespondencję między adwokatem a klientem. Bo jak wykazują eksperci, mimo rzekomego ustępstwa ze strony autorów ustawy, czyli wprowadzenia przepisu nakazującego uzyskanie zgody sądowej na wgląd w treść korespondencji, inne przepisy noweli otwierają wiele furtek umożliwiających obejście tego wymogu.



© GETTY

Ze wścibstwem służb można sobie poradzić, stosując oprogramowanie szyfrujące i alternatywne systemy przesyłu informacji, jak słynny system TOR, z którego korzystają wszyscy ci, którzy chcą ukryć się przed czujnym okiem władzy – i prześladowani, i przestępcy. W internecie już pojawiły się poradniki, w istocie jednak podglądanie treści jest najmniej ważne. Ciekawszą wiedzę dostarcza analiza informacji o tym, z kim ktoś wymieniał maile, jakie serwisy oglądał, kiedy, z jakiego urządzenia, gdzie doszło do „zdarzenia komunikacyjnego”. Odpowiednie oprogramowanie umożliwia analizę dużych zbiorów danych i na ich podstawie tworzenie korelacji umożliwiających tworzenie złożonych profili konkretnych osób i grup. Jak działa analiza metadanych, przekonali się uczestnicy Euromajdanu w Kijowie, gdy dostali na swoje telefony komórkowe esemesy informujące, że uczestniczą w nielegalnym zgromadzeniu.

Ustawa inwigilacyjna nie poprawia w radykalny sposób efektywności walki z przestępczością, znakomicie zwiększa natomiast możliwości kontroli społeczeństwa przez służby i władzę, która jednocześnie swych obywateli pozbawia efektywnych mechanizmów obrony przed nadużyciami. To nie jest dobra zmiana.

EDWIN BENDYK

Komornik – narzędzie władzy



Joanna Solska

W ramach „dobrej zmiany” Ministerstwo Sprawiedliwości zamierza ponownie upaństwowić komorników. Obecnie prowadzą oni działalność gospodarczą, a zysk prowadzonych przez nich firm zależy od liczby i skuteczności przeprowadzonych egzekucji długów. Są kancelarie, które ledwo przędą, ale też i takie, które zarabiają naprawdę spore pieniądze. Finansowo na prywatyzacji bardzo też zyskały kancelarie notarialne, dzięki temu jednak zniknęły kolejki.

Pod nowelizacji ustawy o komornikach sądowych i egzekucji, której projekt ma być gotowy w połowie obecnego roku, przedstawiciele tego zawodu staną się znów pracownikami sądów. Ich zarobki będą zależały od pozycji na urzędniczej siatce płac, część zysków powinna trafić do budżetu. Sytuacja finansowa tej korporacji z pewnością się pogorszy.

Stan obecny nie jest jednak wolny od patologii. Komornicy z największym zaangażowaniem podchodzą do spraw, które rokują im najwyższy zarobek. Wielu wierzycieli, którzy zwracają się do nich o pomoc, nigdy nie doczeka się odzyskania swoich należności. Komornik nie zawraca sobie głowy, jeśli wierzyciel nie powie mu dokładnie, co i gdzie posiada dłużnik. Statystyki skuteczności egzekucji sądowych nie są imponujące, wynoszą zaledwie 23 proc.

Głośne były też przypadki, gdy z konta osoby, która nikomu niczego nie była winna, zniknęły jej własne oszczędności.

Zabierał je komornik, ponieważ wyrok sądowy nakazujący mu egzekucję nie zawierał PESEL dłużnika, tylko jego imię i nazwisko. Ofiarą padała więc niewinna osoba, przypadkiem nazywająca się tak samo jak dłużnik, zaś komornik – w obliczu prawa – był w porządku. Listę zawinionych i niezawinionych grzechów komorników można by wydłużać. Na współczucie z powodu ponownego upaństwowienia tego zawodu jego przedstawiciele liczyć raczej nie mogą.

To jednak nie znaczy, że jeśli komornik stanie się urzędnikiem sądowym, długi odzyskiwał będzie skuteczniej, a patologia zniknie. Wierzyciele, których interes powinien w tej sprawie być nadrzędny, z tej zmiany pożytku nie odniosą. Po co się więc ją robi? Pośrednio na to pytanie odpowiada Krzysztof Jurgiel, minister rolnictwa, który – jak doniosła „Gazeta Wyborcza” – zwrócił się do ministra sprawiedliwości o zawieszenie postępowań egzekucyjnych, jakie toczą się wobec rolników. Wszystkich. To dla obecnej władzy grupa specjalnej troski, o jej głosy przed wyborami PiS zabiegało najbardziej ostro i skutecznie. Teraz się odwodzi.

Komornicy, jak z tego wynika, mają po prostu stać się narzędziem władzy. To ona ma decydować, czyje długi są ważniejsze i o ich odzyskanie komornik ma starać się bardziej, a wobec których grup dłużników egzekucję należy zawiesić, a może w ogóle z niej zrezygnować? Zachęcając tym samym do jeszcze większego zadłużania się na cudzy koszt. Dlaczego na przykład bogate koncerty farmaceutyczne mają nasyłać komorników na biedne, niepłacące za leki szpitale? Do tej pory uważaliśmy, że powinno decydować prawo, teraz trzeba będzie dodać... i sprawiedliwość.



Jestem dawcą

Krakowianie mają w sobie to coś. Coś, czym chcą się podzielić po śmierci”. Hasła tego typu, w których zmieniono tylko nazwy mieszkańców poszczególnych miejscowości, możemy poza Krakowem znaleźć na plakatach w Katowicach, Rzeszowie, Szczecinie, Toruniu, Łodzi i Kielcach. Miasta te zaangażowały się w organizowaną przez Ministerstwo Zdrowia kampanię „Zgoda na życie”, której głównym celem jest zachęcenie Polaków do publicznego wyrażenia zgody na pobranie po śmierci tkanek i narządów do przeszczepu. Akcję wspiera wielu artystów i osoby publiczne, m.in. Krystyna Janda, Piotr Machalica, Sylwia Chutnik czy Jurek Owsiak.

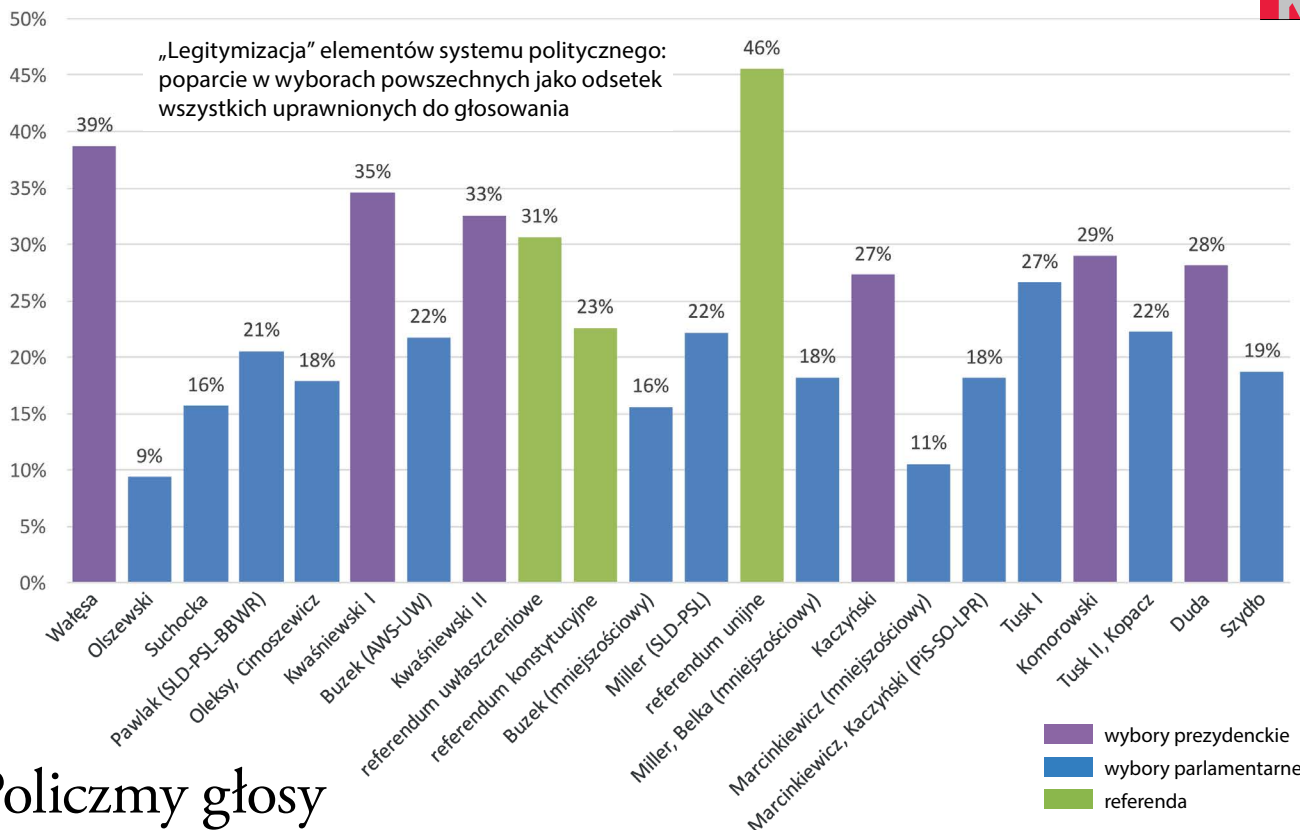
W ramach kampanii powstała aplikacja webowa, dzięki której możemy szybko powiadomić o zgodzie na pobranie narządów swoich najbliższych. Po jej zainstalowaniu i wpisaniu swojego imienia i nazwiska system automatycznie tworzy spersonalizowaną grafikę, którą możemy udostępnić w mediach społecznościowych. Jest to o tyle ważne, że wypełnienie internetowej deklaracji nie posiada mocy prawnej, a ma jedynie na celu zapoznanie bliskich z wolą oświadczonego. Dodatkowo wygenerowaną grafikę z naszą wolą możemy przesłać na telefon komórkowy i tym samym mieć ją zawsze przy sobie. Zainstalowana w przeglądarkach funkcja geolokalizacji pozwala też na wygenerowanie tzw. mapy ciepłej, na której widać, skąd pochodzi najwięcej osób, które zdecydowały się wypełnić deklarację. Aktualnie są to największe polskie aglomeracje: Warszawa, Kraków, Górny Śląsk, Wrocław, Łódź, Bydgoszcz i Trójmiasto.

Zdaniem resortu zdrowia badania wynika, że 55 proc. Polaków wyraża zgodę na pobranie swoich narządów po śmierci, jednak tylko co piąty z nich rozmawiał na ten temat z bliskimi. Akcja „Zgoda na życie” ma na celu m.in. zachęcenie do takich rozmów w gronie rodziny i przyjaciół. W polskim prawodawstwie występuje zasada zarejestrowanego sprzeciwu (czyli domniemanej zgody), która mówi, że jeżeli zostaną spełnione wszystkie przesłanki wynikające z ustawy o pobieraniu, przechowywaniu i przeszczepianiu komórek, tkanek i narządów, a zmarły nie wyraził za życia sprzeciwu (dokonując wpisu w Centralnym Rejestrze Sprzeciwów, spisując własnoręcznie podpisane oświadczenie lub dokonując ustnej deklaracji przy minimum dwóch świadkach), to jego komórki, tkanki lub narządy mogą być przeszczepione. (A.Dob.)

Jan Koza



© JAN KOZA



Policzmy głosy

Temperatura sporu wokół Trybunału Konstytucyjnego doprowadziła w ostatnich tygodniach do dyskusji o fundamentach ustroju Polski. Wynik wyborów i kształt ordynacji dały PiS niekwestionowaną większość w parlamencie, ale częste powoływanie się przez partię rządzącą na „wolę narodu” bywa drażniące. Złośliwi internetowi rachmistrze szybko wyliczyli, że na PiS oddało głos „tylko” 18,7 proc. uprawnionych do głosowania. Czy to rzeczywiście mało? Przeliczyliśmy wyniki wszystkich wyborów od 1990 r., by porównać tak rozumianą „legitymizację” kolejnych rządów (w przypadku koalicji to suma głosów zdobytych przez partie koalicyjne), prezydentów i decyzji podjętych w referendum.

18,7 proc. rządu Beaty Szydło to wynik powyżej średniej dla wszystkich gabinetów od pierwszej kadencji Sejmu, wynoszącej 18,2 proc. Rekord należy do pierwszego rządu Donalda Tuska – w 2007 r. koalicję PO-PSL poparło 26,6 proc. uprawnionych do głosowania. Cztery lata później było to już 22,2 proc. – tyle, co poparcie rządu Leszka Millera przed rozpadem koalicji z PSL. Lepszy wynik od obecnej premier mieli też Jerzy Buzek (21,7 proc. do rozpadu koalicji z UW) i Waldemar Pawlak (20,5 proc. licząc z głosami na BBWR).

Mandat prezydentów jest zdecydowanie silniejszy, przy średnim poparciu 31,7 proc. uprawnionych do głosowania. Średnią zawiązują Lech Wałęsa (38,7 proc.) i Aleksander Kwaśniewski

(34,6 proc. w pierwszej i 32,6 proc. w drugiej kadencji). Wyniki Lecha Kaczyńskiego (27,3 proc.), Bronisława Komorowskiego (29 proc.) i Andrzeja Dudy (28,1 proc.) były do siebie zbliżone.

Wynik głosowania Polaków był bliski „bezwzględnej większości” tylko raz: w 2003 r. za wejściem do Unii Europejskiej opowiedziało się 45,5 proc. uprawnionych do głosowania. Z kolei w 1997 r. nową konstytucję poparło 22,6 proc. uprawnionych – więcej niż obecny rząd, ale mniej niż prezydenta. Rok wcześniej za powszechnym uwłaszczeniem opowiedziało się 30,6 proc., jednak głosowanie nie było wiążące ze względu na zbyt niską frekwencję. Referendum konstytucyjne nie podlegało takiemu wymogowi.

Frekwencja jest achillesową piętą naszej demokracji – równie rzadko jak Polacy do wyborów chodzą tylko Litwini, Bułgarzy i Rumuni. W efekcie „legitymizacja” rządów innych krajów naszego regionu jest wyższa. Od 1998 r. średnie poparcie dla gabinetów węgierskich to 30,3 proc., czeskich – 26,7 proc., a słowackich – 31,2 proc. Niezmiennie rzadko zdarza się jednak, by władza uzyskała mandat więcej niż połowy uprawnionych do głosowania. W 2005 r. miała ją pierwsza wielka koalicja Angeli Merkel (53,1 proc.), a także Jacques Chirac przy reelekcji w 2002 r. (62 proc.). Nie udało się to z kolei żadnemu z prezydentów Rosji.

PIOTR ŻAKOWIECKI (PI)

Co nas spaja

Bóg, honor i ojczyzna to coś, co z całą pewnością gromadzi nas razem” – przekonywał prezydent Andrzej Duda podczas spotkania noworocznego z przedstawicielami różnych wyznań. „Wiara – tłumaczył – buduje dobry świat i buduje dobre społeczeństwa”. Ale czy religia i wartości – w naszym wypadku katolickie – są dla Polaków faktycznie fundamentalne? Z ostatnich badań Pew Research Center wynika, że odpowiedzi pozytywnej na pytanie,

czy wiara stanowi istotny element życia, udziela 28 proc. z nas. To tylko i aż 28 proc., bo choć w zestawieniu z innymi krajami zajmujemy w sumie 26. miejsce, to pozostajemy pierwsi w Europie. Wyprzedzają nas państwa afrykańskie (wiara jest istotna np. dla 98 proc. Etiopczyków, którzy listę otwierają), kraje Bliskiego Wschodu i Stany Zjednoczone (53 proc.). Za nami m.in. Włosi (26 proc.), Ukraina (22 proc.) i Niemcy (21 proc.). Z badań „spójności społecznej”, przeprowadzonych z kolei przez GUS w 2015 r., wynika, że 93 proc. Polaków uważa się za katolików. Ale już „głęboko

wierzących” jest tylko 11 proc. Niezdecydowani stanowią 20 proc.

Zsymulacji Pew Research Center, opublikowanej jeszcze w ubiegłym roku, wynika ponadto, że w perspektywie najbliższych dekad proporcje wierzących i niewierzących w ogóle się zmieniają. Chrześcijaństwo w 2050 r. będzie co prawda dominować, ale przybędzie również bezwyznaniowców i ludzi religijnie obojętnych. Wtedy Andrzej Duda zapewne nie będzie już prezydentem Polski i być może co innego niż „Bóg, honor i ojczyzna” będzie nas spajać. **(AZ)**



Prezydent Erdoğan
na miejscu tragedii w Stambule

Stambuł, Wagadugu, Dżakarta

Trzy styczniowe zamachy – na skraj Europy, w Afryce Zachodniej i w Azji Południowo-Wschodniej – ilustrują taktyczną tendencję dżihadystów. Choć gdzie indziej szukali inspiracji, to wybierali za cele cudzoziemców lub cudzoziemskie symbole w krajach muzułmańskich o sekularnych rządach. W starej części Stambułu zamachowiec samobójca z Państwa Islamskiego zaatakował grupę niemieckich turystów. Według tureckich władz 27-latek kilka dni wcześniej przekroczył granicę z Syrią i mimo weryfikacji nie wzbudził czujności służb bezpieczeństwa. W Wagadugu członkowie afrykańskiej Al-Kaidy przeprowadzili pierwszy zamach w Burkina Faso. Napadli na duży hotel, wzięli blisko dwustu zakładników w sąsiedniej restauracji, których po dramatycznej operacji uwolniła policja, zginęło prawie 30 osób.

W Dżakarcie kilkusobowa grupa ostrzelała kawiarnię amerykańskiej sieci, wysadziła budkę policji drogowej i wdała się w strzelaninę z policją i wojskiem. Rzecz działa się w centrum miasta i w bardzo zatłoczonym miejscu metropolii. Zamach wyglądał na przygotowany według scenariusza listopadowych ataków w Paryżu, jednak zginęły tylko cztery osoby cywilne i większość napastników. Prawdopodobnie za całość szkolenia posłużyły im internetowe nauki rodaków walczących na Bliskim Wschodzie.

Wydarzenia w Dżakarcie obudziły obawy, czy w Indonezji, najludniejszym, ale umiarkowanym społeczeństwie muzułmańskim, nie odradza się ruch radykałów z poprzedniej dekady. Jednak po atakach Indonezyjczycy przez sieci społecznościowe masowo wysyłali terrorystom krótkie i dobitne przesłanie: nie boimy się was.

Twardy Holender

Frans Timmermans, 55-latek, którego z ramienia Komisji Europejskiej wyznaczono na głównego partnera do dyskusji z polskim rządem i który ogłosił rozpoczęcie wobec Polski unijnej procedury ochrony praworządności, jest dobrze zorientowany w naszej historii. Ze względu na wspomnienia mieszkającej w Bredzie matki, u której zatrzymali się polscy żołnierze z dywizji gen. Maczka, Timmermans przed laty walczył o przywrócenie naszym żołnierzom należytej pamięci. I za te starania oraz za wspieranie naszego wejścia do Unii, blisko 10 lat temu, został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP. Urodził się w Maastricht, a młodość spędził



za granicą, podróżując z ojcem dyplomatą. Oprócz niderlandzkiego zna pięć języków. Zaczynał od departamentu integracji europejskiej w holenderskim MSZ, był na placówce w Moskwie i uczestniczył w pracach OBWE. Rodacy zapamiętali go z zaangażowania w wyjaśnienie okoliczności zestrzelenia nad Ukrainą malezyjskiego samolotu, w którym większość pasażerów stanowili Holendrzy, i z przemówienia na forum ONZ, gdzie Timmermans ocierał łzy, ale jednocześnie stanowczo obiecywał, że zrobi wszystko, by do kraju sprowadzono szczątki ofiar. W Brukseli to twardy gracz, znany z doskonałej znajomości unijnego prawa. Jako pierwszy wiceprzewodniczący KE odpowiada nie tylko za dialog z Polską, ale też za przekonanie Wielkiej Brytanii do pozostania w Unii.

Otwieranie Iranu

USA i Unia Europejska w sobotę zniosły sankcje nałożone 10 lat temu na Iran w związku z jego tajnym programem nuklearnym. Przy okazji strony wymieniły się też więźniami. Było to możliwe po tym, jak Irańczycy błyskawicznie spełnili warunki zawarte w lipcowej umowie nuklearnej z Zachodem: m.in. o ponad 60 proc. zmniejszyli liczbę wirówek do wzbogacania uranu. W zamian kraje zachodnie zezwoliły swoim obywatelom i firmom na prowadzenie wymiany handlowej i inwestycje w Iranie. Amerykanie i Europejczycy ponownie dopuścili także Iran do międzynarodowego systemu bankowego, co oznacza m.in. odmrożenie irańskich depozytów wartych ok. 100 mld dol.

To była jednak łatwiejsza część umowy. Teraz rząd Hasana Rouhaniego będzie musiał udowodnić Irańczykom, że rezygnacja z programu nuklearnego przekłada się na realne korzyści. I to szybko, bo już na koniec lutego zaplanowane są wybory parlamentarne, w których reformatorzy Rouhaniego zmierzają się z radykałami skupionymi wokół Strażników Rewolucji. To właśnie Strażnicy najwięcej dziś tracą, bo ich biznesy kwitły dzięki międzynarodowej izolacji Iranu. Przyszłość odprężenia między Zachodem i Iranem w nie mniejszym stopniu zależy też od wyniku listopadowych wyborów prezydenckich w USA. Wszyscy republikańscy pretendenci do Białego Domu potępili zniesienie sankcji, oskarżając Baracka Obamę, że wspiera reżim finansujący terrorystów. Do umowy sceptycznie podchodzi nawet Hillary Clinton. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że część sankcji została jedynie zawieszona, bo do całkowitego zniesienia potrzebna jest zgoda republikańskiego Kongresu.

Dobra zmiana po tajwańsku

Tsai Ing-wen zostaje pierwszą prezydent Tajwanu, a jej dotąd opozycyjna Demokratyczna Partia Postępowa zdobywa samodzielną większość w parlamencie. Oznacza to, że dopiero drugi raz w ciągu 70 lat samodzielnoci wyspy władzę traci nacjonalistyczny Kuomintang. Obywatele mają do niego pretensje, że poszedł na zbyt duże ustępstwa z komunistycznymi Chinami i za bardzo sprzyja establishmentowi. Pani Tsai obiecuje tak przeorientować gospodarkę, by młodym łatwiej było znaleźć pracę, chce równać różnice majątkowe i na dystans trzymać komunistów z kontynentu. Dla ChRL Tajwan pozostaje jedynie zbuntowaną



© GETTY

provincją, do odzyskania w wyniku akcji zbrojnej.

Polityka Dalekiego Wschodu jest do bólu zmaskulinizowana, a jeśli kobiety wspinają się na szczyty władzy, to zazwyczaj po nazwiskach ojców – prezydentów, dyktatorów czy rewolucjonistów. Tsai, najmłodsza z dziewięciorga dzieci przedsiębiorcy, jest odstępstwem od tej reguły. Potwierdza za to inną zależność, sprawdzającą się wszędzie na świecie, niezależnie od branży: wielką karierę robią te kobiety, które są znacznie lepsze od mężczyzn i kładą na szali swoje życie prywatne. Pani Tsai, uznana prawniczka, nie założyła rodziny i mieszka tylko z dwoma kotami, o których zresztą lubi opowiadać.

dzie na świecie, niezależnie od branży: wielką karierę robią te kobiety, które są znacznie lepsze od mężczyzn i kładą na szali swoje życie prywatne. Pani Tsai, uznana prawniczka, nie założyła rodziny i mieszka tylko z dwoma kotami, o których zresztą lubi opowiadać.

Zajmij się pracą

Czatowałeś z dziewczyną w czasie pracy? Pisałaś miłosne maile do męża zamiast korespondować z klientami? Twój szef może sobie to wszystko przeczytać, a tobie grozi zwolnienie z pracy. W ubiegłym tygodniu tak zdecydował Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, co oznacza, że również polskie sądy mogą powoływać się na tę decyzję. To finał toczącej się od 2007 r. sprawy pewnego rumuńskiego inżyniera, który stracił pracę po tym, jak jego pracodawca przeczytał jego czat z narzeczoną. Bogdan Barbulescu już jako bezrobotny wniósł sprawę do rumuńskiego sądu, bo uznał, że pracodawca złamał zasady tajności korespondencji. Sprawę przegrał, ale odwołał się do Strasburga.

Wyrok Trybunału nie pozostawia wątpliwości: pracodawca przy zawieraniu umowy z Barbulescu prawidłowo poinformował go o zakazie korzystania z firmowych urządzeń i programów (tu chodziło o Yahoo Messenger) do prywatnych kontaktów. Trybunał uznał również, że nie doszło do złamania tajemnicy korespondencji, bo pracodawca działał w dobrej wierze – chciał przejrzeć treść służbowych rozmów, do czego ma pełne prawo. A romanse wyszły przy okazji. Prawdopodobnie żadna strategia gospodarza ani fundusze strukturalne nie poprawią tak produktywności w Europie, jak ta ostatnia decyzja Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Polska jako szczepionka?

Polska ustawa medialna wywołała głębokie zaniepokojenie w szwedzkich kołach opiniotwórczych. Szefowie mediów publicznych we wspólnym oświadczeniu, opublikowanym w największym dzienniku porannym „Dagens Nyheter”, wyrazili obawy, że ta swoista polska choroba może się rozprzestrzeniać, „i dlatego – stwierdzają – powinniśmy w Szwecji rozwijać konstytucję, inne prawa i zasady po to, żeby wzmocnić opór mediów wobec możliwych nacisków. Chodzi o to, żeby zaszczyć naszą demokrację na przyszłość”. W Szwecji nie ma konstytucji jako jednolitego aktu (nie ma też trybunału konstytucyjnego). Rolę tę spełniają cztery ustawy zasadnicze: o formach rządu, o sukcesji tronu, o wolności słowa i o wolności druku. Ta ostatnia uchwalona została już w 1766 r., równo 250 lat temu. Zdaniem autorów oświadczenia głębsze uodpornienie mediów przed naciskami ze strony polityków byłoby dobrą formą uczczenia tej rocznicy.

Uwaga: zika!

Ta choroba ma przeważnie łagodny przebieg: gorączka, bóle głowy i mięśni, obrzęk stawów i drobna wysypka – i szybko znika albo w ogóle nie daje objawów. Gorzej, gdy komar *Aedes aegypti*, przenoszący wirus zika, ukąsi kobietę w ciąży, zwłaszcza w pierwszym trymestrze. Zika może spowodować ciężkie uszkodzenie płodu: mikrocefalię, czyli małogłowie. Do takich jednoznacznych wniosków doszli Brazylijczycy, gdy przyszło im ustalić przyczyny licznych ostatnio przypadków mikrocefalii. Do tej pory w 200 rodzinie społeczeństwie było ich ok. 150 rocznie, od 1 stycznia 2015 r. zanotowano ich już 3174, jak ogłosiło właśnie ministerstwo zdrowia. Epidemia ogarnęła przynajmniej 1,5 mln osób, ale o twarde dane trudno ze względu na łagodny charakter ziki. I wiadomo, że to dopiero początek, bardzo zagrożona jest 20-mln aglomeracja São Paulo. Przypadki zachorowań zanotowano też w wielu innych krajach Ameryki Południowej, dwa – w USA. Wirus przywędrował do Brazylii z Karaibów bądź z Polinezji Francuskiej, prawdopodobnie wraz z uczestnikami piłkarskich mistrzostw świata w 2014 r. Co narzuca pytania o bezpieczeństwo turystów i kibiców podczas sierpniowych igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro. Przeciw zice nie ma jeszcze szczepionki, choć zdaniem epidemiologów nie powinna być zbyt trudna do uzyskania. Rozpoczęła się walka z czasem.

Ziobro nadchodzi



Projekt nowej ustawy o prokuraturze jest produktem prawie doskonałym. Bynajmniej nie z punktu widzenia obywatela czy szeregowego prokuratora, ale politycznego nadzorcy, którym będzie minister sprawiedliwości.
Czyli Zbigniew Ziobro.

JANINA PARADOWSKA

Najwyraźniej Zbigniew Ziobro, któremu udało się przez niegramotność Platformy nie stać przez Trybunałem Stanu za nadużycia władzy z lat 2005–07, dokładnie przeczytał uzasadnienie tamtego wniosku. I teraz postanowił stworzyć prawo, które pozwoli mu, a także jego ludziom nadzorującym pracę prokuratorów, na wszystko. I przeciwko każdemu, kogo weźmie się pod lupę, kto podpadnie – opozycji, niepokornym środowiskom, przedsiębiorcom. Próbkę tego pokazał minister dekadę temu, w czasach tzw. IV RP.

Ale teraz Ziobro wraca w nowej wersji, co prawda politycznie pobijany i sponiewierany, ale tym bardziej zdeterminowany, bo wie, że kolejne szanse już nie dostanie. Przez wiele lat był pisowskim delfinem, domniemanym następcą Jarosława Kaczyńskiego, gwiazdą komisji Rywina i ulubieńcem prawicy, szeryfem PiS, notował rekordowe poparcie w wyborach. Jeszcze w 2008 r. został wiceprezesem partii. Ale nagle wszystko zaczęło się psuć. W 2009 r. został oddelegowany do Parlamentu Europejskiego, co nie było w jego przypadku nagrodą, a prezes Kaczyński ironizował, że były minister poduczy się języków. Pojawiła się opinia, że szef PiS ma dość gwiazdzenia i sugerowania, że już czas na zmianę lidera.

Na „wygnaniu” Ziobro był marginalizowany; z pozycji następcy prezesa stał

© MICHAŁ TULIŃSKI/FORUM

się przeciętnym europosełem, oddalonym od spraw partii, podejrzanym o antypartyjne knucie. Zdarzały się mu oraz Jackowi Kurskiemu i Tadeuszowi Cymańskiemu wypowiedzi interpretowane w PiS jako wrogie i nielojalne. Trójka europosłów domagała się „demokratyzacji w partii”, co było odczytywane jako zamach na władzę prezesa.

W końcu jesienią 2011 r. wszystkich trzech dyscyplinarnie wyrzucono z PiS. Założona przez Zióbrę Solidarna Polska politycznie się jednak nie przebiła. Sama popularność byłego ministra nie wystarczyła, talenty wodzowskie okazały się wątpliwe, projekt zaczął się sypać. Znamienna była scenka z kwietnia 2012 r., kiedy to podczas marszu w obronie TV Trwam Jarosław Kaczyński zaapelował do zióbrystów, aby wracali do PiS. Krótko potem Ziobro łamiącym się, trzęsącym głosem próbował coś Kaczyńskiemu odpowiedzieć, nawoływał do jedności prawicy, ale było widać, że goni resztką sił. To był symboliczny koniec wszelkich rozłamowych inicjatyw i samodzielności Ziobry, a zarazem pokaz dominacji Kaczyńskiego.

Od tego czasu, metodą drobnych kroków, Ziobro zaczął wracać do PiS. Wie już, że w niczym nie może się sprzeciwić prezesowi, ale jego nagromadzona w wyniku upokorzeń i niepowodzeń ciemna energia musi gdzieś znaleźć ujście. Dlatego druga odsłona ministra Ziobry może być tylko jeszcze bardziej bezwzględna. Zwłaszcza że dostaje prawne narzędzie o wielkiej sile rażenia.

Projektu nowej ustawy o prokuraturze, zwyczajem PiS, nie konsultowano z żadnym gremium prawniczym, z żadną korporacją zawodową. Prokurator generalny mógł zobaczyć projekt dopiero, kiedy ten pojawił się na stronach sejmowych jako oficjalny druk: Andrzej Seremet nie został zresztą na debatę sejmową zaproszony. Nie przesłano projektu Krajowej Radzie Prokuratury ani żadnym innym instytucjom czy organom zajmującym się sprawami praworządności, ochroną praw człowieka i obywatelskich wolności, choćby Sądowi Najwyższemu czy rzecznikowi praw obywatelskich. Odrzucono wniosek o publiczne wysłuchanie, nie dano okazji wypowiedzenia się organizacjom pozarządowym. Wszystkie opinie, wydane już w trakcie procedowania projektu – w tym prokuratora generalnego, Sądu Najwyższego, Krajowej Rady Prokuratury – są negatywne, często skrajnie krytyczne. Ale przeszły w ciszy.

Ideę przewodnią ustawy wyłożył w sejmowej debacie Stanisław Piotrowicz, niezmordowany we wdrażaniu pisowskiej wersji praworządności – niezależny ma być sąd, niezawisły sędzia,

a prokuratura ma być narzędziem w rękach władzy wykonawczej, które pozwoli na „kształtowanie orzecznictwa sądowego”. Jest w tym stwierdzeniu pewna zagadka – jak prokuratura będzie to orzecznictwo kształtowała? Ale przecież ciąg dalszy nastąpi.

Po prokuraturze PiS weźmie się za sądy. Zapowiadano to już na słynnej katowickiej konferencji programowej PiS i POLITYKA wiernie obrady zespołu do spraw wymiaru sprawiedliwości zrelacjonowała, co wywołało pewien popłoch w szeregach tej partii przed wyborami, kiedy to udawała centrową i cywilizowaną. Jak się jednak okazuje, poglądy wtedy uznane za prywatne stały się oficjalne i przybierają kształt kolejnych projektów ustaw.

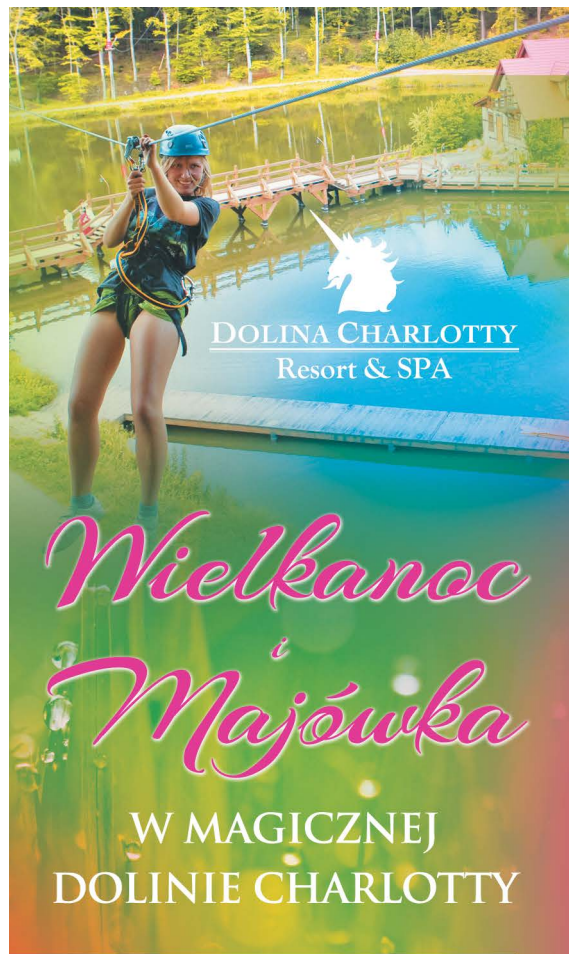
Najpilniejszym zadaniem (po sparaliżowaniu Trybunału Konstytucyjnego) jest właśnie podporządkowanie rządowi, a ściślej rzecz biorąc ministrowi sprawiedliwości, prokuratury. W pierwszych dniach marca kończy się kadencja prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta i to jest ten moment, aby zmiany wprowadzić. Oznaczają one powrót do tego, co było i co kjarzy się najgorzej. I to nie tylko pod rządami Zbigniewa Ziobry, który upartyjnienie prokuratury, manipulowanie śledztwami i informacjami ze śledztw wyniósł na niespotykane wcześniej wyżyny, ale także niektórych jego poprzedników. Byli bowiem tacy, którzy nie stronili od politycznych robót na rzecz swoich środowisk.

Minister sprawiedliwości będzie znów prokuratorem generalnym, co wbrew twierdzeniom polityków PiS nie jest rozwiązaniem w Europie spotykanym. Owszem, w Niemczech czy we Francji prokuratura podlega rządowi, ale nie ma unii personalnej i główny prokurator zawsze zachowuje margines niezależności. U nas będzie inaczej.

W miejsce obecnej Prokuratury Generalnej (oddzielonej od władzy wykonawczej) powstanie na powrót Prokuratora Krajowa; prokuratura wojskowa straci swoją odrębność, co jest akurat od dawna postulowane, ale zachowany zostanie pion śledczy IPN, który od dawna powinien zniknąć. Prokuratury apelacyjne zastąpione zostaną regionalnymi. Prokurator generalny dobierze sobie kogo chce do krajowej, a także do regionalnych, których zadania nie będą zbyt odległe od tych, jakie pełnią obecne apelacyjne. Po tych kadrowych zmianach na każdym szczeblu minister może mieć swoich ludzi, bez konkursów, z politycznego czy koleżeńskiego powołania.

Kuluarowa wieść niesie, że projekt, nad którym obecnie Sejm pracuje, i tak jest umiarkowany, gdyż w wersji bardziej radykalnej weryfikacja miała od razu sięgać aż do najniższego szczebla. Najwyraźniej uznano, ►

REKLAMA

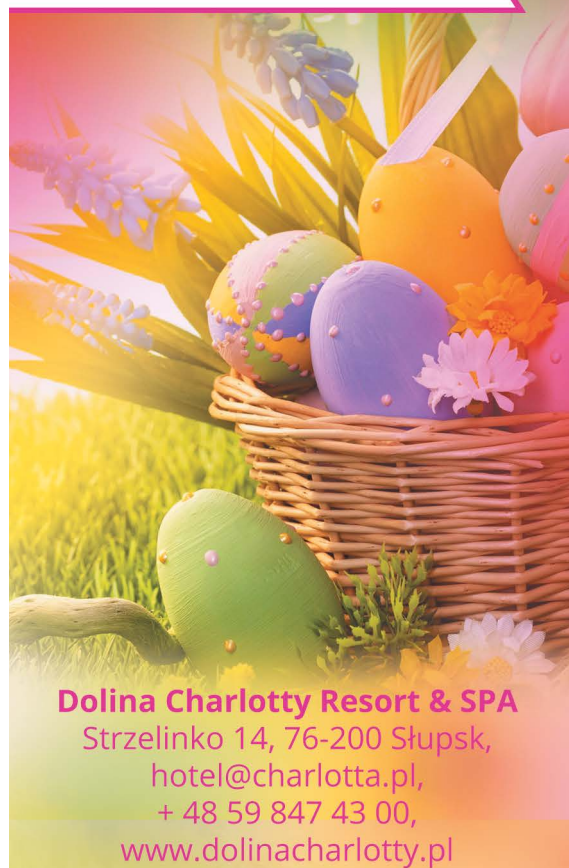


DOLINA CHARLOTTY
Resort & SPA

*Wielkanoc
Majówka*

W MAGICZNEJ
DOLINIE CHARLOTTY

5% RABATU
TYLKO DO 31.01.2016



Dolina Charlotty Resort & SPA
Strzelinko 14, 76-200 Słupsk,
hotel@charlotta.pl,
+ 48 59 847 43 00,
www.dolinacharlotty.pl